Tom XVII. Nr. 11.
11. października 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O gusłach, przesądach i zabobonach.

Nie ma wsi u nas, żeby tam ludzie nie wierzyli w rozmaite gusła, żeby nie mieli przelicznych zabobonów i przesądów; a już to djabłom to taką moc wszędzie przypisują, o jakiej się im ani śniło.

Zginie komu bydlę, albo mu je ukradną, idzie zaraz do znachora i płaci grubo, aby mu wywróżył, co się z niem stało. Okuleje koń, albo krowa przestanie dawać mleko, właściciel szuka czemprędzej człwieka, co by jego bydlęciu te choroby zażegnał. Wierzą ludzie, że są tacy, co jednem spojrzeniem drugich ludzi zarażają; nazywają to urokami i mają na te uroki różne gusła. Gospodyni w dzień świąteczny ognia z domu nie wyda, a w żaden wieczór śmieci z izby nie wyrzuci, powiadając, że to by jej chacie nieszczęście przyniosło. O djabłach wierzą ludzie, że złodziei do kradzieży namawiają, że lasy walą, dachy z budynków zrzucają, że się włóczą po

bagnach i oczeretach i tam duszą przechodniów, że puste domy zamieszkują a gotowi są zawsze pójść na służbę do tych, co im duszę swoją i sumienie zaprzedadzą. Gdzie głód, zaraza albo nawet kłótnia domowa wybuchnie, wszystko djabelskiej sprawie ludzie przypisują.

Zkąd u nas pochodzi tak łatwa skłonność do zabobonów, i taka wiara w gusła, nie trudno odgadnąć. Oto ztąd, że ludzie są jeszcze bardzo ciemni i w boskich prawdach świętej naszej katolickiej religii nie dość wyuczeni; bo wiadomo, że gdzie ludzie do kościołów na kazania pilnie uczęszczają, a za młodu do szkoły chodzili, tam znachory i wróżkowie nie mają co robić, tam uroki się nie zdarzają i djabły tak nie broją jak gdzieindziej, a złodziej na gorącym uczynku schwytany nie śmiałby składać winy na djabła.

Wiarę w gusła, zabobony i przesądy utrzymują po wsiach ci właśnie znachorowie, wróżkowie i stary baby, choć sami nie wierzą w to, co czynią. Nie trzeba im się dziwić, boć to ich rzemiosło, z którego żyją, ale tym się trzeba dziwić, co im dają na tem rzemiośle zarabiać.

Ciężkim jest grzechem wierzyć w gusła i pan Bóg nieraz surowo karze za tę wiarę. W naszej wsi zdarzył się raz taki wypadek. Gospodarz pewien miał parę koni i trzymał je w stajni, bo to była zima, ale nie sypiał przy nich jeno w izbie. Jednej nocy złodzieje podkopali się do stajni i konie wyprowadzili. Gdyby był, postrzegłszy stratę, uciekł się do pana Boga i dobrych ludzi, byłby może konie odzyskał; ale on inaczej sobie postąpił. Owoż najprzód do południa płakał i jęczał, czemu się zresztą dziwić nie można, bo taka strata boli, ale przez to dał złodziejom czas do ucieczki. Ochłonąwszy trochę, poszedł do jednego chłopa, o którym ludzie powiadali, że potrafi złodziei oczarować i w taki ich obłęd jak zechce wprowadzi, że albo rzecz skradzioną oddadzą, albo się z nią z miejsca ruszyć nie mogą. Znachor ten, wysłuchawszy sprawę naszego gospodarza, kazał sobie postawić garniec wódki i zapłacić reński, co też poszkodowany chętnie uczynił, bo zdało

się mu, że lepiej stracić reński jak parę koni. Potem znachor wziął się do gusłów; rozniecił ogień, rzucał na niego to wodę, to jakieś ziele, szeptał Bóg wie co, wzdychał, żegnał się i w końcu upewnił gospodarza że konie odzyska. Kazał mu wrócić do domu i czekać trzy dni, po upływie których złodzieje mieli sami konie przyprowadzić i postawić w tem samem miejscu zkąd je wzięli. Tylko to jedno mu zalecił, aby się przez całą drogę ni razu nie obejrzał za siebie, gdy będzie wracał do domu.

Gospodarz czekał cierpliwie całe trzy dni, ale nadaremnie. Czwartego dnia poszedł znowu do znachora, i wziął ze sobą sporą laskę, aby się na nim pomścić i za konie i za wódkę i za ów reński. Ale stary miał rozum, umiał się przed nim pięknie złożyć i wmówił w niego, że się pewnie gdzieś w drodze obejrzał i że to dlatego czary się nie udały. Chciał nawet jeszcze raz swoją sztukę powtórzyć i żądał za to już tylko pół garnca wódki i pół reńskiego, gospodarz jednak nie dał się namówić a konie tymczasem przepadły. Dopiero po roku jednego konia z biedą odszukał, a i to nie przez czary, ale przypadkiem, prawie cudem Bożym.

Słyszałem też o jednej kobiecie co dziecko straciła tym sposobem, że zamiast je, gdy zachorowało, jakiemi lekami ratować, zawołała baby, co by mu uroki odczyniła. Baba trzy razy odczyniała uroki, i dziecko jej w rękach skonało, a uroki nie pomogły.

Wielki już czas, żeby ludzie prości przestali wierzyć w takie baśnie, jakiemi są wszystkie gusła, zabobony i przesądy, co wstyd przynoszą rozumowi ludzkiemu. Bóg tylko jeden cuda czynić może. Gdy zechce uzdrowi chorego, szkodę powróci, strapionego pocieszy; ale człowiek żaden, a tem bardziej grzesznik taki i pijak, jakiemi są wszyscy znachorowie i znachorki, tego nie potrafi. Zabobony takie, jak o ogniu, o śmieciach o upiorach i bardzo wiele innych, pochodzą jeszcze z owych czasów, kiedy przodkowie nasi nie znali Boga prawdziwego i byli poganami. Tyle już lat minęło jakeśmy się nawrócili, a przecie owe pogańskie a zatem grzeszne zabobony

jeszcze się między nami utrzymują. Człowiek pobożny i rozumny w to tylko wierzyć powinien, co Bóg objawił i kościół święty do wierzenia podaje, a ponieważ ani gusłów, ani zabobonów pan Bóg nie objawił, kapłani, pasterze nasi od nich nas odwodzą, wierzyć w nie nie powinniśmy.

A nie dosyć jest nie wierzyć w nie, ale owszem i drugich od tej złej wiary odwodzić należy. Obowiązek to wszystkich rodziców, wszystkich gospodarzy. Rodzice dzieci swoje, gospodarze czeladź swoją oświecać powinni, powinni wszelkiemi siłami wykorzeniać wiarę w gusła, przesądy i zabobony, w czem dobry przykład ze strony starszych zawsze najwięcej znaczy.

Dzień zaduszny.

Wyjątek z pieśni o domu naszym.

Zdala słychać wiejskie dzwony,
I lud tłumem ciągnie w bieli
Od kościoła przez zagony, —
To znać pogrzeb będziem mieli!
Śpiew żałobny płynie rosą:
Ale trumny coś nie niosą....?
To po zmarłych upominek!
Po cmętarzu się rozbiegli;
Klęcząc każdy krzyż oblegli;
Więc i — „wieczny odpoczynek!“
Dzień zaduszny serce święci,
I powszednie dzieje chaty,
I najcięższe życia straty
Stają żywo tu w pamięci...,
Kmiecie stoją zadumani:
Śmierć nie straszna lecz sąd Boski —
I niedola serce rani —
Owo całe dzieje wioski!
I na grobach każdy składa
Upominki i obiaty —
I o swoich opowiada —
Owo dzieje polskiej chaty!

. . . .

Stoją kmiecie zadumani:
Próżno dumać — próżno prawić —
I to boli — i to rani —
Więc żywot nam poprawić.
I jak przyszli tak wracają,
Zadumani i wzruszeni;
Gwarząc jeszcze często stają —
Aż już znikli gdzieś wśród cieni.

Na cmentarzu tylko troje
Ludzi jeszcze pozostało:
Znać małżeństwo — bo tu dwoje
A tam wdowa z dziatwą małą.
W trzy mogiłki młode stadło
Patrzy z żalem —
A tam wdowa.
Płacze! — „Biedna moja głowa,
„Że sierotą być nam padło!“

„Chodźmy żono — mąż powiada:
„Nie wypłaczem, nie wystojem —
„Ot zabierzmy wdowę z trojem;
„Stypę sprawić im wypada.“

I zabrali wdowę ciesząc,
Co przybyła gdzieś zdaleka —

A ode wsi bieży, spiesząc
Jakaś psina — i zaszczeka —
A więc patrzą: koło płota,
Pod piołunem — a na grobie
Siedząc, płacząc jak sierota,
Jakaś nędza na mogile,
Aż usnęła w końcu sobie —
Bo jej rzekli tylko tyle:
„To grób matki, i znaj o tem:
„Grób bez krzyża a pod płotem!“

Stoją — patrzą wszystko troje —
Psina legła przy sierocie —
I nie pomną smutki swoje;
Lecz w litości i szczerocie
Biedne dziecię z sobą wzięli,

I odchodzą ze cmentarza:
Psina przodem się weseli:
A na twarzy gospodarza
Myśl zabłyśnie i pociecha:
„Słuchaj żono — Bóg wziął troje;
„Gdy bez dziatwy nasza strzecha,
„Weźmy dziecię to za swoje —
„Wszak nie darmo świat to prawi,
„Że gdzie chowa się sierota,
„Bóg domowi błogosławi,
„I słoneczko tam we wrota.“ —

„Bóg przemówił sam przez ciebie“ —
Rzekła żona — i przytuła
Biedne dziecię już do siebie —
I rańtuchem omatuła —

I przyjęli na gościnę:
Biedną wdowę z sierotami,
Błędne dziecię, błędną psinę —
I nie byli w sercu sami.

Trzeba zdrowie szanować.

Najszczęśliwszy jest człowiek kiedy jest zdrów, a bez zdrowia to i największy dostatek na nic się człowiekowi nie przyda. Zachować zdrowie czerstwe jest w mocy człowieka, bo jeno trzeba pana Boga o łaskę prosić i wystrzegać się wszystkiego co choroby przynosi. Chcecie li zaś wiedzieć co choroby przynosi? powiem wam zaraz, oto: ospalstwo i próżnowanie, a niemniej też i praca nad siły, zbytnie zimno, zbytnie gorąco, głód ciągły, jakoteż i wszelki zbytek w jadle i napoju; oprócz tego zaś wszystkie namiętności gwałtowne, gniew, żal bez granic, rozpacz. Wszystko to podkopuje zdrowie człowieka i niszczy je, toż wszystkiego tego człowiek wystrzegać się powinien i chronić, jeżeli się chce cieszyć czerstwem zdrowiem. A gdy pan Bóg zeszle chorobę, trzeba się zaraz według możności ratować, trzeba się zaradzić ludzi

umyślnie do tego wyuczonych, i na leki skąpić nie trzeba, a kto inaczej postępuje, ten zginie marnie jak Marcin Kobylak.

Jak Marcin? A cóż to za Marcin? spytacie; owóż poznacie go zaraz. Właśnie powraca do domu, z grabiami na plecach, zachmurzony, markotny, bo na niebie czarna chmura zawisła, pono gradowa, i nie mógł skończyć roboty.

Już niedaleko chaty, kędy go żona, dziećmi otoczona, oczekiwała, stanął i zaklął okropnie. Dzieci się polękły i pokryły za matkę, ona zaś wstała aby popatrzeć co go tak zgniewało i wnet odgadła przyczynę. Marcin ujrzał kurę grzebiącą w pszenicy.

Wpadł zaraz w taki gniew, jakby mu kto największą krzywdę wyrządził. Aż się zapienił ze złości. Porwał kamień i jak rzucił, tak zabił kurę na miejscu a potem dalejże z grabiami do żony.

— A ty taka, ty owaka... Nauczę ja cię dbać o moją pracę... Czemu sobie kury nie pilnujesz?

Rozpłakała się Marcinowa, podniosła drgającą jeszcze kurę i poszła z dziećmi do izby. Marcin jeszcze się fukał i skakał do niej z pięściami.

— Boże, Boże, rzekła, czy też to nie szkoda zdrowia? czy to warto tak się gniewać o lada co? Poczciwa kobieta, nie chodziło jej o siebie, ani o kurę, jeno o zdrowie męża.

W tejże chwili zagrzmiało i z owej chmury co Marcina z pola spędziła, lunął grad. Łatwo pojąć, co się teraz działo z Marcinem, który tak dbał o swoje mienie, że prawie w szaleństwo wpadł, ujrzawszy kurę w szkodzie.

Na widok gradu języka w gębie zapomniał, załamał dłonie. A grad tymczasem walił się i walił aż ziemia pobielała, i w pół godziny wytłukł wszystko zboże na Marcinowem polu. Marcin jakby zmysły postradał, wypadł z izby, biegał po polu, rwał włosy z głowy, krzyczał i jęczał.

— Co ja teraz pocznę, co ja pocznę... wszystko przepadło... nie ma już dla mnie ratunku!

Spokoiła go żona jak mogła, ale tylko się ofuknął na nią i jęczał znowu:

— O nie mam już po co żyć na świecie... utopię się, albo powieszę, niechaj się wszystko skończy!

Powychodzili też na pole sąsiedzi i sąsiadki, których taka sama dotknęła klęska. Wszyscy byli zmartwieni, zapłakani ale nikt przecie takich breweryi jak Marcin nie wyrabiał. Zdawało się że tam już zginie na polu, ledwie go starsi gospodarze umitygowali.

Poznaliście już tedy Marcina, jak był łatwy do gniewu i do rozpaczy, i pewnie już nie będziecie pytać co on za jeden, jeno chyba co się z nim potem stało.

Owóż nazajutrz zbudził się do dnia i strasznie zmartwiony poszedł z domu, nie rzekłszy słowa ani do żony ani do dzieci. Przeszło południe i wieczór się zbliżał, a jeszcze go nie było z powrotem. Żona się zgryzła, spłakała, bo myślała że się może doprawdy powiesił albo utopił, i dalejże szukać go po całej wsi. Spotyka kumę, a ta jej prawi, że Marcin od rana siedzi w karczmie.

Marcinowa zdziwiła się tem okrutnie, bo Marcin jako żywo nigdy nie chodził do karczmy, a to nie dlatego że nie lubił wódki, jeno dlatego że był trochę skąpy. Idzie do karczmy, patrzy, a Marcin rozogniony siedzi na ławie, bije w stół pięścią i krzyczy:

— Na frasunek dobry trunek! Zabrał djabeł pszenicę, niech się i resztą ucieszy! Żydzie, dawaj gorzałki!

Żona się przelękła, nigdy jeszcze nie widziała Marcina w takim stanie. On ją ujrzał, wypadł rozjuszony z za stołu, ledwie go ludzie wstrzymali.

Marcinowa odeszła smutna; on zaś został, pił w karczmie całą noc, i nazajutrz nie wrócił do domu. Żona choć ze strachem, po kilka razy na dzień zaglądała do karczmy, ale się nie mogła ośmielić do niego. Pił tak bez upamiętania przez trzy dni i trzy noce.

Czwartego dnia żona go zastała jakimś spokojniejszym, choć ją widział, już się nie zrywał do bicia. Przybliżyła się więc do niego i rzekła łagodnie:

— Bój się Boga Marcinie, dość już tej pijatyki, pójdź przecie do domu.

Marcin się zerwał z ławy, jakby go nagle wodą oblał i prędko wdział kapelusz na głowę.

— Tak, dość, zawołał; dość się już zmarnowało, teraz trzeba się wziąść do pracy, żeby odzyskać co się straciło.

— Da Bóg że się odzyska, tylko już chodźmy, chodźmy, prosiła Marcinowa; dzieci płaczą w chacie.

Marcin zapłacił resztę co jeszcze był winien i wyszli. Zataczał się, bo mu dobrze w głowie szumiało, ale przecie musiał jeszcze być dość przytomny, bo szeptał sam do siebie:

— Tak, dość już tego, dość tej rozpaczy..., teraz już nie spocznę, nie odetchnę, póki znowu nie stanę na nogi; oho! i djabeł się zadziwi jak zobaczy co ja mogę.

Nie łatwo to było takie postanowienie wykonać, bo zkądże by wziął sił do pracy po trzechdniowej pijatyce. Ale przecie zaraz bardzo raźno zabrał się do roboty, i zwijał się jakby dwudziestoletni parobek. Ile go takie wysilenie kosztowało, to pan Bóg raczy wiedzieć, ale choć mu ręce mdlały, kości trzeszczały a z czoła pot lał się strumieniem, nie ustawał w pracy. Sąsiedzi wzruszali ramionami i dziwili się bardzo że on tak dokazuje a żona go prosiła:

— Bój się Boga, zdrowie zmarnujesz, czego się tak natężasz; jak zachorujesz, co wtedy poczniemy?

— Tak, tak, rzecze jej Marcin szyderczo, zdrowie trzeba szanować, szanujże swoje, kiedy ci się robić nie chce.

— Ja pracuję ile mogę, odpowie mu, ale miłe mi zdrowie i życie, bo mam dzieci.

Widząc że z nim nie wskóra, dała pokój, ale ułożyła sobie dawać mu przynajmniej posilniejszą strawę, i zaraz poszła do karczmy kupić kawałek mięsa. Lecz Marcin ledwo mięso ujrzał zaraz narobił krzyku:

— A to zkąd? a to na co? to ty już taka pani że sobie możesz mięso gotować?

— Marcinie! rzecze ona, to nie dla mnie, ja ani nie skosztuję, to dla ciebie; napracujesz się ciężko, trzeba ci się przecie posilić, bo jak stwór wyglądasz...

— A ty taka, a ty owaka... ty zbytnico... dawaj tu kija!

Już się rozjuszył; pianę z gęby toczy, a z oczu ogień mu tryska. Już lata jak szalony, jak niedźwiedź się rzuca i ryczy, myślałbyś że mu się Bóg wie co stało.

Poszedł przecie do roboty, żona sobie popłakała w cichości. Aliści wieczór Marcin wraca do domu jakiś skulony i stęka.

— Oj gwałtu, jakże mię kłuje... gwałtu, czym się oberwał,... gwałtu, gwałtu!

Legł zaraz na łóżku, nic jeść nie chciał, jeno stękał i stękał.

— Może ci jakich ziółek zgotować? może byś się czego napił? pytała go żona; i nie czekając na odpowiedź skoczyła zaraz do dworu po ziółka. Ale państwa nie było i nikt jej nie umiał poradzić.

Nazajutrz Marcin miał się jeszcze gorzej, dostał gorączki i od rzeczy gadał. Gdy go trochę gorączka opuściła, mówi mu żona:

— Marcinie, Marcinku kochany, czekaj mię tu cierpliwie, ja pójdę do miasteczka, do doktora, poproszę o jakie leki dla ciebie.

Marcin ją ofuknie z gniewem:

— Głupia kobieto, cóżto ty myślisz że doktór daje leki za darmo?

— Ba, choćby i zapłacić przyszło, to przecie lepiej, jak leżeć i stękać bez ratunku..

— Patrzcie się, takaś pani! krzyknie Marcin; a gdzież to masz pieniądze?

— Już ja się postaram, już niech cię o to głowa nie boli.

— Ani się waż! ani się waż! wołał Marcin.

— Bój się Boga, na to żałujesz?

Już tylko ręką machnął, bo go znowu bole straszne porwały, a ona też nie czekając długo, zebrała się i pobiegła co tchu do miasteczka. Pół mili w skok przebiegła, więc najprzód z koralami do żyda co dawał na zastawy, a potem do doktora i dalejże go prosić o lekarstwo dla chorego męża.

— A cóż mu jest? zapytał doktor; może się przepił?

— Gdzietam, proszę jegomości, on nigdy nie pije, chyba w rozpaczy; ot spracował się strasznie, czy go żółć oblała, bo jakiś był zrzędny.

— Cóż go boli? zapytał doktor znowu.

— Marcinowa opisała wszystko, doktor przeszedł się po izbie, pomyślał, zapisał lekarstwo i kazał pijawki postawić.

— Poczciwa kobieta spieszy teraz z kartką do apteki; zrobili jej lekarstwo na poczekaniu i pijawki zapakowali w słojku.

— A wiele trzeba zapłacić za wszystko?

— Reński, odpowiedział aptekarz.

— Niech kosztuje co chce, rzekła, byle pomogło; a płacąc myślała sobie w duchu: gdyby on wiedział, żem aż tyle na te leki wydala, oj, dałżeby mi!

Teraz już spieszy do domu i cieszy się, że mężowi zdrowie powróci, i znowu pół mili w skok przebiegła, wchodzi do do chaty. Mąż stęka, ani nie spojrzał na nią.

— Marcinie, miej w Bogu nadzieję, rzekła do niego łagodnie; będziesz zdrów.

On się zerwał na łóżku.

— Co to? lekarstwo? Wieleś zapłaciła? wieleś zapłaciła?

Przelękła się biedna kobieta, słowa przemówić nie mogła a on krzyczał:

— A ty złodziejko przeklęta, okradać mnie będziesz? ostatek mi będziesz wydzierać?

Ręce przed nim załamała:

— Marcinie, to nie za twoje pieniądze, to za moje korale..

Ani słuchać nie chciał, wyskoczył do niej z pięściami, chciał ją bić. Ale nogi się pod nim zachwiały, upadł i krew mu uderzyła do głowy. Żona skoczyła na ratunek, podnosi go ale rady mu dać nie może; ledwie go dźwigła i na łożu złożyła. Teraz pobladł straszliwie, wyciągnął się i przymknął oczy. Marcinowa przelękła się, narobiła krzyku, dzieci też w płacz; przybiegła sąsiadka, chcą ratować chorego, patrzą... a on już skonał.

Tak to bywa tym co zdrowia nie szanują, taki to ich koniec; umierają przedwcześnie, wtenczas kiedy może ich życie byłoby najpotrzebniejsze dla rodziny i zostawiają żony wdowami, a dzieci sierotami. O! zdrowie trzeba szanować.

Stanisław Krakowczyk.

Lutnista biskupem.

Za dawnych czasów, kiedy jeszcze Kraków był stolicą królów polskich z rodu Jagiellonów, co byli wszyscy bardzo dobrymi królami i rządzili narodem jakoby cnotliwi ojcowie swoją rodziną, pojawił się tam raz chłopczyna jakiś ubogi, nikomu nie znajomy, który chodził po domach, grał na lirze czyli na lutni i śpiewał, a za to dostawał tu i owdzie po parę groszy i z tego żył. Nazywał się Erazm Ciołek i pochodził podobno z bogatej rodziny, ale nikt nie znał jego rodziców i on sam o nich nic nie wiedział.

Lutnistę tego poznał jeden dworzanin królewski i bardzo go sobie za jego piękne granie upodobał, tembardziej gdy się dowiedział że go nikt grać nie uczył, jeno on tak sam ze siebie umiał przebierać palcami po strunach. Będąc u syna królewskiego, królewicza Alexandra w łaskach, wstawiał się do niego za owym ubogim lutnistą i prosił o jaką pomoc dla niego.

Królewicz kazał lutnistę przywołać do siebie i także bardzo go polubił, bo też to był wielce urodny chłopczyna, a na

wszystkie zapytania tak roztropnie królewiczowi odpowiadał, że się wszyscy dziwili, zkąd taki dzieciak przez rodziców zaniedbany, i nigdy niczego nie uczony, może mieć tyle rozumu. Królewicz zajął się nim bardzo troskliwie i kazał go uczyć najprzód w Krakowie; a gdy tu szkoły ukończył, wysłał go swoim kosztem do Włoch, gdzie były podówczas najlepsze szkoły, aby się tam w naukach wydoskonalił.

Erazm Ciołek przykładał się do nauk bardzo pilnie i postępował szybko, co mu zresztą nie było trudno, bo i głowę miał do nauk dobrą i pracy nie żałował. Gdy za otzymywane dobrodziejtwa dziękował królewiczowi, który się nim ciągle opiekował, mawiał mu królewicz: Ja od ciebie wdzięczności nie potrzebuję, ale jak wyjdziesz na człowieka, jak zostaniesz biskupem albo i czem więcej, pamiętaj, abyś się ojczyźnie odwdzięczył.

Młodzieniec ani nie marzył jeszcze wówczas o takich dostojeństwach, ale jednak przyszedł czas że się ziściła przepowiednia królewicza; bo ubogi niegdyś lutnista, wyuczywszy się w naukach, został księdzem, potem kanonikiem krakowskim, a nakoniec biskupem płockim. Służy on nam za wzór, jak to wysoko można dojść pracą i wytrwałością, pomimo ubóstwa i opuszczenia i potwierdza się na nim stara jak świat, ale święta prawda, że Bóg nigdy nie opuści sieroty; a kiedy dziecku zabierze rodziców, to wnet mu zeszle innych opiekunów, byle tylko dziecko nie zapominało o tym swoim najwyższym opiekunie w niebiesiech, co widzi z góry wszystkie jego troski i potrzeby a przytem także wszystkie skrytości jego serca.

Erazm Ciołek, nazwany Witelionem, zostawszy biskupem, zajaśniał na tem dostojeństwie wielką mądrością. Przyszła teraz kolej na niego odwdzięczyć się swemu dobroczyńcy, który już był królem. Dla ojczyzny położył zasługi wielkie przez to, że się przyczyniał wielce do rozmnożenia w kraju szkółek po miasteczkach i wioskach, ale to nie dosyć, bo kto taki jak on dług zaciągnie, to się i całem życiem nie wypłaci. Król Aleksander był dla niego zawsze łaskaw. Ufając jego rozumowi

i wierności, wysłał go w poselstwie do Rzymu, na którem też biskup Erazm bardzo dobrze się sprawił, a gdy ten dobry król przedwcześnie umierał, polecił go najmocniej bratu swemu i następcy, królowi Zygmuntowi I.

I bez tego polecenia biskup Erazm byłby miał u nowego króla łaski i względy, jako mąż wielce szanowny i sławny ze swojej mądrości a do tego duchowna osoba. Król Zygmunt używał go także do różnych poselstw, które biskup bardzo dobrze z początku sprawował, ale w końcu pycha skalała jego serce. Przebywając prawie ciągle na dworach cesarzów i królów, tak się rozmiłował w blasku światowym, że już o niczem nie myślał, jeno o nabywaniu nowych dostojeństw i zamiast pilnować dobra swojej ojczyzny i króla, zamiast koło tych spraw chodzić, które jego pieczy i sumieniu powierzono, zaniedbał wszystkiego ze szkodą ojczyzny, a o sobie tylko myślał i starał się u cesarza niemieckiego o bogatsze biskupstwo, a u ojca św. papieża o najwyższą godność kościelną, o kardynalstwo i to tylko miał w głowie.

Król Zygmunt musiał pisać do niego i przypominać mu obowiązki. Biskup zmiarkował że źle zrobił i rad był złe naprawić, ale wstydził się wracać do ojczzzny, bo u nas w Polsce ludzie palcami takiego wytykali, co więcej dbał o własną skórę jak o dobro ojczyzny. To mu zatruło resztę żywota i umarł w Rzymie ze zgryzoty.

Piękny przykład,

Uchwały Rady gminnej w Szymbarku.

Szymbark jest to wieś pół mili za Gorlicami, jak się jedzie do Sącza, przy samym gościńcu co go zowią karpackim, bo prowadzi człeka het aż na nasze piękne góry karpackie. Położenie tej wsi jest górzyste, ale lud pracowity uprawia te góry jak umie i może, aby były nie tylko dla oka przyjemne, ale także na owoc korzystne. W tej wsi prócz kościoła jest także zamek, czyli dom obszerny i wysoki, wystawiony z ka-

mienia przez Jana Gładysza nad rzeką Ropą, dla obrony od nieprzyjaciela, w roku 1359, a więc za czasów Kazimierza Wielkiego króla polskiego.

Wójt tej wsi, gospodarz stateczny, dbający o kościół, o szkołę i o dobro gminy, zawołał pewnego dnia Radnych do szkoły, bo w karczmie uchowaj Boże, nigdy się rady nie odprawiają i tak rzecze do nich:

— Na to nas ludzie do „Rady Gminnej“ powołali, abyśmy im dobrze radzili, aby już nie potrzebowali tak często do urzędów chodzić, co to prawdę mówiąc i wiele grosza kosztuje i wielka ztąd jest mitręga. Wiecie, że roboty w polu już prawie skończone; człek po pracy chciałby się jakoś i rozweselić, a młodzi przy wesołej muzyce i podskoczyć. Aby jednak zamiast rozweselenia nie było obrazy boskiej, uradźmy tak: żeby tylko raz w miesiącu pozwalać na granie, bo człek nie dla zabawy, jeno do pracy jest stworzony, a jakby się ciągle bawił, toby zapomniał o tem, i wiela grosza by zmarnował, a tu nie ma zkąd, bo czasy bardzo złe. Toż żeby tylko do godziny dziesiątej na granie pozwalać, bo gdyby parobcy i dziewki przez całą noc się bawili, jak to dotąd bywało, toby na drugi dzień nijaka robota była z nich, więcej by spali jak robili, a gospodarze narzekaliby na nas, że na tak długie granie pozwalamy.

Podobała się ta rada wszystkim i przystali na nią, lecz jeden radny, tak się jeszcze odezwał:

— Dzieciom nie pozwalajmy na muzykę chodzić, będą mieli nato dosyć czasu jak urosną. Lepiej niech siedzą w domu i niech czytają „Dzwonek“ albo inne pożyteczne książki, a więcej skorzystają jak z muzyki.

Ośmielony tą mową inny radny, tak powiada:

— A wiecie co gospodarze, nie pozwalajmy przy takiej muzyce upijać się, jak to dotąd bywało, a jakby który upił się nieprzymierzając jak bydlę bez rozumu, to go het wypędźmy aby nie przeszkadzał uczciwej zabawie.

Na ostatek jeszcze inny, co jest diakiem w cerkwi, jak u nas organista w kościele, człek bardzo poradny i dobry katolik, odezwał się jeszcze:

— Na nic się nie przydadzą nasze uchwały, jeźli dla nich poszanowania nie będzie, a człowiek zawsze skłonniejszy do złego niżli do dobrego. Przeto uradźmy, aby na każdej muzyce jeden z radnych był przytomny, dla pilnowania porządku i poszanowania naszej uchwały.

Wszyscy się na to zgodzili, i uchwały Rady zostały spisane na wieczne czasy, a my je tu podajemy, aby innym gminom służyły za wzór, jako bardzo chwalebne i użyteczne. Daj Boże, aby wszystkie gminy takie prawa sobie stanowiły i ich przestrzegały, a wtedy na całej ziemi naszej ustaną pijaństwa i rozpusty a zakwitnie pobożność, pracowitość i miłość wzajemna.

Tomasz Kwiatkowski nauczyciel.

RÓŻNOŚCI.

Lekarstwo na krwiotok gdy się bydlęciu róg wyłamie. Jeżeli sobie bydlę przez jaki szczególny przypadek wyłamie róg, puszcza mu się z bolącego miejsca krew, tak gwałtownie, że nieraz bydlę musi z tego zdychać. Jest na to bardzo proste a wielce skuteczne lekarstwo. Robi się tak: Nalewa się na płytką a szeroką miskę trochę octu, tę miskę z octem stawia się na żarzących węglach aby się ocet dobrze rozgrzał; im się dłużej grzeje, tem będzie silniejszy. Potem odstawia się miskę, żeby ocet trochę wystygł, macza się w nim kawałki płótna i przykłada bydlęciu na skaleczone miejsce. Nie długo potem krew płynąć przestanie i rana się zagoi.

Co robić gdy bydlęciu gardło spuchnie? Często z nagłego oziębienia dostaje bydlę zapalenia gardła, co jak się zaniedba bywa niebezpiecznem. Na tę zaś chorobę jest także bardzo dobre lekarstwo: Z mąki razowej, potłuczonego siemienia lnianego i kwiatu rumiankowego robi się ciasto. Do tego ciasta dodaje się trochę słodkiego mleka i ciasto się zagotowuje. Potem bierze się szmatkę, smaruje się ją tem ciepłem ciastem i przykłada się na zapuchnięte gardło. Trzeba często odmieniać te plastry a puchlina zejdzie wkrótce.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.